

Andrzej Cedro

BRUDNY

Komedia z wątkiem

Wydawnictwo S-CAN
TARNÓW 2006

Projekt graficzny
Andrzej Cedro

Redakcja
Lilianna Zawadzka

Skład i przygotowanie do druku
Dariusz Kobylański

Copyright © 2006 by Andrzej Cedro
Copyright © 2006 „S-CAN” Wydawnictwo s.c.
Wszelkie prawa zastrzeżone

Druk i oprawa
Brzeska Oficyna Wydawnicza

Tarnów 2006

Wydawca:
„S-CAN” Wydawnictwo s.c.
tel./fax: 014 6231065, 602 721774
www.s-can.pl, s-can@s-can.pl

ISBN 83-87785-36-9

Zdarzenia i miejsca są prawdziwe, ale nie wszystkie. Ludzie też są prawdziwi, chociaż też nie wszyscy, a wszelkie podobieństwa głównego bohatera, Zenona B., do Andrzeja T. są zupełnie przypadkowe.

Jak zwykle, fikcja z prawdą nie do końca nie mają ze sobą nic wspólnego, a ludzie z ludźmi, jak zwykle, trudno powiedzieć.

Autor

W Magiocie

Cyrkawa to duże miasto. Dzielnic tu co niemiara, ale dla Zenona Brudnego najważniejszą z nich była dzielnica Niemotów. Tam, na dachu starej pięciopiętrowej kamienicy miał postawić przestrzenne podświetlane na noc litery hasła reklamującego poważnego zresztą ubezpieczyciela. Czekał niecierpliwie na zamówienie, częściej niż zwykle zaglądał do siedziby swojej spółki Brudny&Company mieszczącej się w ekskluzywnym hotelu Magiot. Tak, to ten wysokościowiec strzelający odważnie w niebo w samym centrum Cyrkawy.

Siedziba spółki Brudny&Company to nic innego jak skrzynka adresowa w tym właśnie hotelu. Pokoje w Magiocie były zbyt drogie, żeby je wynajmować. Można byłoby się w nich zbyt dobrze poczuć i zasiedzieć albo przysnąć. A tak biuro chodziło razem z prezesem, bo mieściło się w jego czarnej teczce ze złotymi klamkami. Pocztowej skrzynce w hotelu Magiot prezes kłaniał się z szacunkiem raz w tygodniu i wyjmował z niej wszystko, co świat mógł tu przysłać, a co mieściło się w znormalizowanych kopertach.

Właśnie wyjmował kolejną korespondencję z hotelowej skrzynki adresowej.

– Kurwa, że też im się chce czas tracić? – wrzucał ze złością do kosza stertę wezwań do zapłaty, mszcząc się przy tym na papierze rozrywanym na strzępy.

Humor poprawił mu się nieco, gdy zobaczył firmową kopertę od poważnego zresztą ubezpieczyciela.

– No, wreszcie! – błyskawicznie rozpruł kopertę patyczakowatym palcem.

Nie wczytywał się w zamówienie. Grunt, że było. Nie mógł za to oderwać oczu od podpisanej pod zamówienie umowy, a szczególnie jej paragrafu trzeciego dotyczącego wartości kontraktu. „393 tys. PLN” było piękną kwotą i nie ma się co dziwić, że wszystkie jego zmysły chłonęły tę liczbę zapisaną zarówno cyframi, jak i potokiem kojących słów: „trzysta dziewięćdziesiąt trzy tysiące złotych”.

– Pięknie... – patrząc na paragraf trzeci, prezes rozmarzył się.

Wyobrażał sobie, jak pobiera kolejne banknoty z ogromnej sterty, którą usypuje przed nim, w dowód wdzięczności za piękną reklamę, były kolega od jaskrawego krawata, dziś szanowany ubezpieczyciel. Oczywiście, część banknotów, niby przez nieuwagę, prezes strąci do uchylonej szuflady poważnego ubezpieczyciela. Kłaniają się sobie, uśmiechają się. Piękny finał.

Mógłby tak patrzeć bez końca na ten cudowny paragraf trzeci umowy i marzyć, gdyby nie to, że ze skrzynki wysunęła się jeszcze jedna koperta. Nadawca: Drukarnia FARBA – Fasolski Adam. Zazębce. Popatrzył na kopertę z obrzydzeniem.

– Kurwa, jak temu Fasolskiemu się nie znudzi? Pojebus jeden! Trzy lata minęło, niech się odpierdoli.

Nie zaglądając do środka, przedał kopertę parę razy i wrzucił do kosza. Wiedział, że Fasolski błaga w liście o pieniądze albo znowu grozi. Prezes Brudny nie mógł pojąć, że Fasolski może tak w nieskończoność powtarzać jedno i to samo. Jak tak można?! Powrócił oczami do trzystu dziewięćdziesięciu trzech tysięcy. To robiło zdecydowanie lepsze wrażenie.

– No, to teraz muszę zapierdalać do Zazębiec – pomyślał.

Nie, nie miał zamiaru odwiedzać drukarskiego klanu Fasolskich, ale musiał się wybrać do pozał się Boże grafika, który był zdecydowanie tańszy od grafików z Cyrkawy, a ponadto pozał się Boże grafik godził się pracować w dni wolne i po nocach, co prezes Brudny uwielbiał. By się upewnić, że grafik nigdzie przed nim nie ucieknie, postanowił przeprowadzić z nim krótką rozmowę telefoniczną. Wpychając w rozum telefon komórkowy, wykrzyczał jednym tchem swoją udawaną sympatię:

– Cześć, Jędrus... Przyjeżdżam dzisiaj o dwudziestej drugiej. Pasuje? Masz, kurwa, czekać, bo nie będzie kasy... Nie pierdol, tylko przygotuj się do ostrej jazdy. Zeskanujemy obrazki, wpierdolimy na nie trochę przestrzennych literek, jedno chujowe logo i dam ci spokój... Dzisiaj! Przez noc... W niedzielę muszę wrócić do Cyrkawy i przygotować dach pod tę popierdoloną

reklamę dla ubezpieczycieli. Oni nie mają zielonego pojęcia, co to jest reklama, ale ja ich pierdołę. Niech dają kasę i niech spierdalają... Ty, Jezusek! Do ciebie inaczej się nie da, bo nie zrozumiesz... Cześć.

Wrzucił telefon do kieszeni, energicznie domknął trzymane na kolanie biuro, zatrzasnął złote klamerki i pośpiesznie ruszył do wyjścia, pozostawiając za sobą błyszczące marmury niewzruszenie dumnych kolumn pilnujących holu hotelu Magiot.

Gdyby Fasolska wiedziała!

Dorotka, siostra Adama Fasolskiego, nie była starą panną, ale tęskniła wieczorami za tym jednym jedynym mężczyzną, jakby nią była. Oczywiście nie za tym, który chrapie w sypialnym salonie. Fasolska wytrzymuje to chrapanie już ponad trzy lata. Tak, Fasolska, bo mimo zmiany nazwiska jest dla wszystkich Fasolską i nikt nie ma zamiaru nazywać jej inaczej. To wtedy, przed trzema laty, kochany Zenuś nagle zniknął i musiała przeżyć tę pamiętną sylwestrową noc z kimś zupełnie obcym. Teraz jest żoną tego zupełnie obcego człowieka, na swoje utrapienie. A z Zenkiem mogło być tak pięknie! Siedziała w kuchni pochylona nad krzyżówką, szukając liter pasujących do odpowiednich kratek, ale tak naprawdę odświeżała wspomnienia. Krzyżówki zawsze jakoś tak są zamotane, że nijak nie idzie odgadnąć właściwego słowa. Jakby autorzy układali je na złość Fasolskiej. Nie dostrzegają z ich strony życzliwości w pokrętnych szyfrach, które trzeba było odgadywać. To tak samo jak z Zenkiem, głównym bohaterem wspomnień, który od paru lat każdego wieczoru biega nerwowo po wszystkich zakamarkach jej wyobraźni i za nic nie chce zatrzymać się choćby na chwilę i mocno przytulić. Trzy lata temu wszystkie swoje tajemnice składali w ogromną piramidę wielkiego uczucia, a potem Zenuś przepadł bez słowa. Na myśl

o tym niecnym finale wielkiej miłości ostry czubek długopisu wbijał się w Zenka, kalecząc na wylot kolejną kratkę krzyżówki. Uciekł wtedy z jakąś lafiryndą i na to wspomnienie Dorotka Fasolska była gotowa przekłuć wszystkie kratki. Zaraz jej jednak przechodziło, bo przecież:

– Taki był kochany i przystojny. Jak mi go te wszystkie france zazdrościły!

Pamiętała, jak kochany Zenuś przyjeżdżał do rodzinnej drukarni Fasolskich, całował jej ręce i wpatrywał się w oczy tak, że poświęcała mu bez reszty nawet swój firmowy czas w nadliczbowych godzinach. Nie wielkie, ciasne biuro dla interesantów nie mogło być wygodną sypialnią, ale czy to ważne? Nawet wtedy, gdy pojawił się po raz ostatni, ucierpiała tylko kserokopiarka.

– Było cudownie... – rozmarzyła się Fasolska.

Po chwili jednak z rozmarzonych oczu popłynęły łzy. Płaczliwym szeptem obwiniała samą siebie:

– Aleś, franco, głupia. Uwierzyłaś, że kocha. On potrzebował dziesięć tysięcy ulotek, a nie ciebie... Żeby chociaż zamówił czarno-białe, drań jeden, ale kazał drukować we wszystkich czterech kolorach... – skala strat sprawiała, że łez przybywało.

Usta wykrzywiły się w grymasie najbardziej pokrzywdzonej istoty na świecie.

Gdyby wiedziała, że jej upragniony Zenuś wyskoczył właśnie z pociągu na głównym dworcu Zazębiec, pewnie już by tam była.

Prezes ratuje łachudry

Dworzec w Zazębcach uchodził za nowoczesny, ale dawno i tylko przez jakieś najwyżej dziesięć lat. Nie wiadomo dlaczego było tu zawsze przeraźliwie zimno. Prezes Zenon Brudny uciekał od tego wyjątkowego chłodu, przebijając w ekspresowym tempie patyczakowatymi odnóżami. Z podziemnego dworcowego przejścia wyszedł z ulgą na główną aleję Zazębiec. Ulica byłaby zupełnie pusta, gdyby nie dwaj towarzysze podróży donikąd, podtrzymujący siebie nawzajem i mocujący się z własnymi nogami. Nie mogli ruszyć z miejsca, ale trzeba przyznać, że próbowali. Prezes nie byłby sobą, gdyby nie rzucił w ich stronę kąśliwej uwagi.

– No, kurwa, nieźle urwało łepetyny!

– Aaa, bo... co? – wybełkotał z oburzeniem chwilowo zapatrzony w niebo opasły, wielki jegomość z dużą, łysą głową w kształcie katedralnego dzwonu, opakowany szczelnie w skórzaną kurtkę.

Gdyby trzeba było policzyć jakieś astronomiczne świetlne obiekty, był do tego gotowy. Wzrok uciekał mu jednak w jakieś nieznane rejony. Można by to było tłumaczyć nadmiarem gwiazd i księżyców, ale nie tamtej nocy. Wtedy wypatrywanie ciał niebieskich było bezsensowne. Niebo było ciemne i zachmurzone.

– Za...czekaj pan – wystękał drugi, również wygolony na łyso, ale jakby dla kontrastu niski chudzielec.

Powiewające jak skrzydła poły rozpiętego płaszcza odsłaniały szary garniturek. Chudzielec próbował podnieść głowę, żeby popatrzeć na przechodnia, ale, mimo usilnych prób, nie udawało mu się. Tylko wypuszczony na wolność krawat dawał do zrozumienia, że jego właściciel ma bardzo wiele do powiedzenia, tyle że chwilowo mówić nie może, bo myśli. Krawat pęsał, a razem z krawatem tańczyła ręka chudzielca ściskająca kurczowo telefon komórkowy.

– No, co tam, panowie? Przybalaowało się, co? – ulegając prośbie, prezes zatrzymał się na chwilę.

– Powiedz pan... powiedz... jak dojść do ulicy – próbował sklecić pytanie astronom.

– No, kurwa, jesteście na ulicy.

– Ale... ale Że... Żeromskiego.

– Do Żeromskiego to, kurwa, daleko! Musicie wziąć taksówkę – prezes co prawda wyjechał z Zazębiec dawno, ale geografię miasta miał w małym palcu.

– Nie chcieli... nas... zabrać – bełkotliwie poskarżył się osobnik ze zwieszoną głową.

– Nikt nas nie chce i nikt nie lubi... Tylko pan, dyrektorze, może nam pomóc – wybełkotał drugi, nie przerywając oglądania nieba.

– Śpieszę się! Idźcie w lewo, tam są taksówki.

– Pogasili światła... i nic... nie widać – rzucił prosto w niebo wielbiciel astronomii.

– Chyba wam wódeczka źrenice rozjechała!

Prezes zachichotał głośno, bo pobliska okazała latarnia rozrzutnie rzucała jaskrawe światło.

Spis treści

W Magiocie	7
Gdyby Fasolska wiedziała!	11
Prezes ratuje łachudry	13
Praca twórcza w Zazębcach	19
Nocne wywoływanie Zenka	23
Jędrus jest niedzisiejszy	25
Łysielcy u Fasolskiego	29
Drukarka	39
Pani Irenka obiecuje Dorotce	47
W Golideju zrobiło się pięknie	51
Kowalscy wizytują Rycyńskich	57
Wyjście do raju	61
Wersal, to Wersal	67
Śladem pięknych życiorysów	71
A w Wersalu niedziela	81
Marzenia o Pyziadle	83
Na chwałę klienta i na cześć prezesa	89
Zalewanie pod okiem władzy	91
Kondecki bierze kąpiel i separuje się od hałaśliwego świata	97
Betoniara też się kąpie	101

Marzenia odwiedzają Kondeckiego	103
Kapral Pała w cuda nie wierzy i zarządza sprzątanie . .	107
Pan Bóg zsyła potop.	111
Gutek straszy	117
Z gerberami na nieszczęście	121
Pani Kmiotkowa nie ma siły do Kmiotka	125
Pani Krysia spojrzała uważnie w lustro.	129
Jak nie pijawa, to łysielcy...	133
Henio jednak umie czytać obrazki.	141
Kondecki chce, żeby sierżant przestał lubić prezesa . .	145
Borsucza mina i do tego żelastwo	151
No właśnie, kapral zgadza się z sierżantem.	153
Siostra Klementyna	157
Uszanowanie, obywatelu	165
Zapowiadacze końca świata.	169
Kto jest od robienia jaj?	171
Masz trzy tysiące i wytrzymaj łezki...	177
Jędrus, pomocy!	179
Drugie wszy	185
Szczęście i nieszczęścia	191
W barze, przed wojną.	197
Wymiana skarbów	199
Grafik pije, prezes czeka	207
To samo w różnych telewizorach.	211